

„Wspomnienia z Łagrów”

Antoni Goleniowski

Urodziłem się 06.06.1902 roku w Sędziszowie, powiat Jędrzejów, województwo Kielce.

Ojciec Bolesław, matka Katarzyna z domu Kołkowska.

Szkołę podstawową ukończyłem w Sędziszowie, tam też w 16-tym roku życia rozpocząłem pracę w tartaku. Pracowałem do 1922 roku.

W 1923 roku zostałem powołany do wojska. Służyłem w 50. pułku piechoty w Kowlu do 1926 roku.

25 kwietnia 1927 roku wyjechałem na Kresy i podjąłem pracę w Nadleśnictwie Czartorysk, Leśnictwo Stepań, województwo Łuck, na Wołyniu – jako gajowy. Zamieszkałem w gajówce Uroczysko Jasioneckie koło wsi Butejki gmina Stepań, powiat Kostopol.

25 listopada 1928 roku w parafii Huta Stepańska zawarłem związek małżeński z Wiktoria Andrzejewską, córką Józefa i Apolonii.

29 września 1929 roku urodził się syn Ryszard,

19 grudnia 1934 roku urodził się syn Romuald,

15 listopada 1938 roku urodził się syn Feliks.

Z chwilą wybuchu II wojny światowej (1 września 1939 roku) straciłem pracę, skończyło się spokojne życie rodzinne, a zaczęła się udręka i tułaczka.

Armia niemiecka z jednej strony, a armia sowiecka z drugiej, niszczą ziemię na Kresach. Palą wsie, zabierają ludzi do obozów, mordują. Ukraińcy występują przeciwko Polakom, sąsiadom żyjącym przez wieki w przyjaźni. Byliśmy zagrożeni. Zabrałem broń i poszedłem do Huty Stepańskiej gdzie organizowała się polska obrona.

W Hucie Stepańskiej, na Słonym Błocie, gdzie było uzdrowisko z kąpielami borowinowymi miałem willę-pensjonat. Wydierżawiłem go pani Liwickiej, która opiekowała się moim domem.

Kiedy Niemcy zajęli Polskę, uciekinierzy z Warszawy pojawili się też w Hucie Stepańskiej. Przyjechała grupa urzędników Banku Polskiego z Warszawy. Zostali zakwaterowani w moim pensjonacie. Pani Liwicka wspominała, że mieli ze sobą dużo złota, zaszywali je w ubrania. Bandy Ukraińców napadały na Słone Błota. Polska policja i strzelcy pod dowództwem Korzwickiego oraz wszyscy posiadający broń, obstawiliśmy Słone Błota czujkami – baliśmy się, że obrabują naszych uciekinierów z Warszawy ze złota, a to były zasoby Banku Polskiego. W dogodnej chwili personel Banku Polskiego opuścił mój dom i uciekł – prawdopodobnie do Rumunii.

Będąc na Słonym Błocie martwiłem się o rodzinę. Nie mogłem z nimi przebywać. Ukraińcy szukali pracowników leśnych, zabierali broń, mordowali. Bałem się o żonę i dzieci. Postanowiłem sprowadzić je na Słone Błota, do

naszego domu. Posłałem wozy konne, ale żona nie zgodziła się opuścić gajówkę – czuła się tam bezpiecznie. Poza tym była w ciąży. Nadal musiałem się ukrywać. Wędrowałem po wioskach, jakiś czas przebywałem u teściów we wsi Borki, w Hucie Stepańskiej i w Starej Kamionce. Byłem poszukiwany przez Ukraińców. Nachodzili rodzinę. Sytuacja nieco się poprawiła, gdy w listopadzie 1939 roku wkroczyła na nasze tereny dywizja wojska sowieckiego i zakwaterowała się koło wsi Duże Werbce.

Wróciłem do rodziny, sądziłem, że zrobi się porządek, wojsko sowieckie będzie nas bronić przed Ukraińcami. Myliłem się. Gdy milicja ukraińsko-żydowska dowiedziała się, że jestem, powiadomiła o tym dowództwo wojska sowieckiego twierdząc, że biłem Ukraińców i nie pozwalałem brać drzewa z lasów.

Co było nieprawdą.

Pewnej nocy pojawiła się grupa żołnierzy z oficerem. Uzbrojeni byli w pepeszę i granaty. Obstawili gajówkę. Już spałem. Obudził mnie ruch za ścianą – tam mieszkał gajowy Górowski. Słyszałem podniesione głosy. Szybko wyskoczyłem z łóżka, ubrałem spodnie, koszulę i buty na bose nogi. Chwyciłem rewolwer i wyskoczyłem na ganek. Usłyszałem: „ręce w wierzch bo strelaju” – ręce do góry bo strzelam. Podniosłem ręce i dłuższy czas musiałem tak stać. Zjawił się oficer z żołnierzami i zapytał czy mam broń – wyjąłem rewolwer z kieszeni i oddałem. Zapytał o karabin. Miałem go w sianie w stodole. Oddałem. Byłem przesłuchiwany przez oficera, bo jeden z Ukraińców oskarżył mnie, że go biłem. Powiedziałem, że nigdy nikogo nie biłem, Ukrainiec na to: „nie pamiętasz jak złapałeś mnie w lesie gdy kradłem drzewo, wtedy mnie uderzyłeś”. Oficer słysząc to roześmiał się i powiedział: „idź spać, tak trzeba było postąpić”. Przepędził Ukraińca. Jakiś czas był spokój. Banderowcy nie pojawiali się w gajówce. Władze wojskowe zaprowadziły pewien porządek, w okolicy, zapanował chwilowy spokój, i nawet wydały zarządzenie, że wszyscy gajowi mają wrócić do pracy. Nadleśniczy Burtnowski i leśniczy Kułakowski też zostali na swoich stanowiskach. Dyrekcja mieszcząca się w Łucku została obsadzona przez Sowietów. Nam wydano sowieckie legitymacje służbowe. Rozpocząłem prace leśne, ścinę osiki. Ukraińcy niechętnie przychodzili do pracy, ale jakoś zdołałem ich zachęcić. Tak w spokoju dotrwalismy do Bożego Narodzenia. Drugiego dnia świąt zjawił się leśniczy Kułakowski i jakiś politruk sowiecki. Spisali cały inwentarz żywy i martwy oraz opisali całą rodzinę. Byłem zaniepokojony, czułem, że coś nam grozi. Oni uspakajali, że to formalności. Kilka tygodni spokoju i naraz.....

10 lutego 1940 roku, godzina 5-ta rano, jeszcze ciemno, żona i dzieci śpią – stukot do drzwi, otwieram wchodzi jakiś politruk i dwaj milicjanci ubrani po cywilnemu. „Ręce do góry, oddawaj broń”. Nie mam broni, zabrało wojsko sowieckie.

Mierzyli do mnie z karabinu z bagnetem. Obudzili żonę i dzieci, obszukiwali dom, nie pozwolili się ruszyć. Przerażenie ogromne. Kiedy nie znaleźli broni,

powiedzieli, że mamy 2 godziny na spakowanie się. Przed domem czekają sanie, które zawiozą nas tam, gdzie będzie lepiej i bezpieczniej.

Zrozumiałem, że wywożą nas na Sybir.

Żona wpadła w popłoch, straciła głowę. Nie wiedziała co ma robić. Zaczęła ubierać dzieci. Ryszard miał 10 lat, Romuald 5, a Feliks 1 rok. Żona w 6-tym miesiącu ciąży. Mnie nie pozwolono się ruszyć. Milicjant mierzył z karabinu, byłem unieruchomiony. Politruk gdy zobaczył, że żona sobie nie poradzi zezwolił na uwolnienie mnie spod karabinu. Zapakowałem trochę ubrań, pierzyny i 2 składane łóżka. Żona wzięła garnki, trochę naczyń i sztućców. Nie wiele można było zapakować na jedno sanie. Dzieci i my całkowicie je wypełniliśmy. Gorzej, że nie mieliśmy zapasów żywności. Szwagier Andrzejewski nie zdążył przywieźć nam mąki ze zmielonego zboża, które zawiozłem do jego młyna w Hucie. Nie zdążyliśmy zabić świni, która miała około 150 kg. Zapomniałem o kurach, a one bardzo by się przydały na dalsze kilka dni. W oborze zostały 3 krowy. Nie wolno było zabrać żadnego żywego inwentarza. Politruk powiedział, że na miejscu wszystko dostaniemy. Nie mieliśmy upieczonego chleba, żona czekała na przywiezienie mąki. Jednym słowem wyjeżdżaliśmy bez żywności i z kilkoma najpotrzebniejszymi rzeczami. Gdy ładowaliśmy się na sanie, zjawił się sąsiad Ukrainiec i przyniósł nam bochenek chleba. Tak wyposażeni ruszyliśmy w naszą katorżniczą drogę.

Droga na Sybir

Sanie przeładowane. Żołnierz sowiecki jako woźnica i eskortujący. Troje dzieci i my. Bagażu niewiele, ale i tak ciasno.

10 luty 1940 rok – duży mróz, zawieja śnieżna, drogi zawiane, z trudem przejezdne. 17 kilometrów pokonujemy cały dzień. Wieziono nas przez wioski Butejki, Duże Werbce, Wielichów, Horodec do stacji kolejowej w Antonówce. Tam już czekały długie zestawy wagonów. Podwieziono nas pod jeden z wagonów i kazano ładować się. Zdążyłem ułożyć żonę i dzieci, położyć pościel i garnki. Resztę rzeczy zabrano nam. Zatrzaśnięto drzwi wagonu. Ciemność, odrobina światła sączyła się przez małe okienko pod sufitem. Wagon pełen ludzi, wszyscy stłoczeni, z trudem lokują się na podłodze. Płacz dzieci, rozpacz matek i bezsilność ojców i mężów. Na stacji Antonówka byliśmy przetrzymywani przez całą dobę. Nie pomogły prośby, łomotanie do drzwi – nie wypuszczano nas nawet do załatwienia potrzeby fizjologicznej. W podłodze była wycięta duża dziura, do której trzeba było się załatwiać na oczach wszystkich. Zrobiliśmy prowizoryczną zasłonę z koca.

Nie dano nam jeść i pić. Dzieci głodne. Każdy jak mógł pomagał drugiemu, dzieliliśmy się wodą i jedzeniem. Nasza sytuacja była tragiczna. Żadnych zapasów jedzenia.

W nocy z 11/12 lutego transport ruszył. Koła wagonów przeraźliwie zazgrzytały na torach bocznic i rozległ się śpiew: „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród”. Tej samej nocy dojechaliśmy do stacji Sarny.

Tutaj czekały na nas wagony sowieckie, ośmiokołowe. Kazano przenieść się do nich. Załadowano po 80 osób do każdego i jeszcze tej samej nocy ruszyły w głąb Rosji. W wagonach były półki – prycze. Poukładaliśmy się jeden obok drugiego, stłoczeni. Tutaj też za toaletę służyła dziura w podłodze bez żadnego zabezpieczenia. Do ogrzewania służył żelazny piecyk. Na nim też gotowaliśmy wodę.

Jechaliśmy przez wiele stacji, nazw nie pamiętam. Przejeżdżaliśmy przez rzekę Wołgę. Na większych stacjach, pod eskortą żołnierzy pozwalano nam wyjść z wagonu. Wtedy rozdawano zupeł, chleb czarny jak ziemia i gorącą wodę – kąpiatok. Braliśmy też do naczyń śnieg, aby w wagonie mieć z niego wodę.

Kolejarze, którzy widzieli naszą nędzę, płakali. Wiedzieli jaki los nas czeka.

Głód strasznie dokuczał. Nie mieliśmy żadnej żywności, wyjechaliśmy z domu bez żadnych zapasów. To co otrzymywaliśmy, z trudem oszukiwało głód. Dzieci nie miały mleka. Feliks miał zaledwie rok życia. Żona spodziewała się dziecka.

4 marca 1940 roku dojechaliśmy do stacji Charowsk. Tam czekały na nas sanki zaprzężone w jednego konia. Dzieci i starców posadzono na sankach, dorośli większość drogi przebywali pieszo. Zamieć, głęboki śnieg i mróz.

5-letni Romuald, 1-roczny Feluś i żona zmieścili się w sankach. Starszy 10-letni Ryszard i ja, szliśmy pieszo. Droga wyboista, ciemno, rowy, sanki kilkakrotnie wywracały się. Dzieci i żonę trzeba było odkopywać ze śniegu. Część rzeczy zgubiliśmy. Zimno potworne. Kilka osób zmarzło. Zostawieni zostali na poboczach drogi, bez żadnego pochówku.

Momentami zapadaliśmy się w śnieg powyżej pasa. Brnęliśmy tak przez całą noc. Potem dowiedzieliśmy się, że ta katorżnicza droga liczyła ponad 40 km.

5 marca 1940 roku o świcie znaleźliśmy się w posiołku Katrom nr 2.

Rozpoczęło się życie na Sybirze.

Czekały na nas drewniane długie baraki, z przegrodami w środku. Ściany sięgały trochę wyżej ponad głowę. Prawdziwe klatki, 2,5 metra długości i 2 metry szerokości. Jak zmieścić 5 osób? Ratowało nas żelazne rozkładane łóżko, które zabraliśmy z gajówki. Na szczęście to jedno nie zginęło. Dzieci mogły na nim leżeć w poprzek.

30 metrowe baraki były podzielone na 16 klatek i korytarz wzdłuż baraku. Z jednej strony korytarza 8 klatek i z drugiej też 8. W środku korytarza jeden murowany piec, który miał ogrzać cały ten nieszczelny, prowizoryczny budynek. Na naszym posiołku były 4 takie baraki. W każdym 16 rodzin. Jedne 3-5 osobowe, inne nawet 6-8 osobowe.

Po wprowadzeniu się do baraków enkawudzista rozkazał udać się do miejscowej stołówki, gdzie otrzymamy posiłek. Na szczęście mieliśmy garnek. Poszedłem z

nim, dostałem 5 porcji „zupy” sowieci nazywali ją łapsza – jakieś kluski i woda, bez odrobiny warzyw i przypraw. Za to miałem zapłacić rubla. Nie miałem pieniędzy, dali więc na kredyt i przy pierwszej wypłacie potrącili ten dług.

Trzy dni pozwolili nam wypoczywać i poznać teren.

Posiołek znajdował się w środku tajgi syberyjskiej. Las dookoła. Oprócz naszych baraków był tutaj budynek przeznaczony na szkołę, budynek enkawude z miejscem dla aresztowanych i osobny, przeznaczony na kuchnię z magazynem żywnościowym. Obok magazynu mały sklep oraz pomieszczenie dla małych dzieci.

Uformowano nas w robocze brygady. Moja składała się z 8 osób – 4 mężczyzn, 2 16-letnich chłopców i 2 kobiet. Mnie jako że byłem gajowym, zrobiono kierownikiem brygady.

Pierwszy dzień pracy wyglądał tak: miejscowy leśniczy (lesosowchoz) poprowadził nas do lasu, około 2 kilometry w głąb tajgi. Droga nie przetarta, zasy pyłu powyżej pasa, kazano nam wydeptywać tę drogę – wysiłek straszny. Zmęczeni do granic możliwości dobrnęliśmy na miejsce dopiero po południu. Żadnych zabudowań, szałasów. Ścieliśmy kilka drzew, spuszczone topiły się w śniegu. Z trudem je wyciągaliśmy. Obcinaliśmy gałęzie i z nich zrobiliśmy ognisko, nie wiele w tym dniu udało się zrobić. Usiedliśmy na ściętych kłodach wokół ogniska, głodni, zmarznięci i pełni rozpacz. Do baraków wróciliśmy późnym wieczorem.

Następnego dnia o świcie ta sama droga, trochę lżejsza bo przetarta. Ścinka drzew szła opornie, ludzie nie nauczeni takiej pracy. Dwie ręczne piły i siekiery do obcinania gałęzi. Pnie należało przecinać na kłose i przenosić je na jedno miejsce.

Nadzorujący nas „lesomajster” widząc, że z naszej pracy nie będzie pożytku, wysłał mnie na przeszkolenie do pracującej w tajdze brygady sowieckiej. Ci pokazali jak należy posługiwać się piłami łukowymi, a moim zadaniem było przekazać tę wiedzę członkom naszej brygady. Mimo to, nie było łatwo. Nie zdołaliśmy wykonać normy to jest 4 m³ na dzień, na jedną osobę.

Gdy przyszło do wypłaty – dostaliśmy po 4 ruble za dzień pracy, a kobiety i chłopcy po 3 ruble.

Tymczasem 1 kg razowego chleba kosztował 1 rubel i 5 kopiejek. Porcja zupy 1 rubel, kaszy też 1 rubel. Jak więc można było wyżywić pięcioosobową rodzinę? Byłem zrozpaczony. Groziła nam śmierć głodowa. Poszedłem do komendanta enkawude i mówię, że nie wyżywię rodziny za te pieniądze, żeby podwyższyli wynagrodzenie. „Pracuj lepiej, to będziesz miał pieniądze” – brzmiała odpowiedź. Siły nie mam. „To zdychaj z głodu” – rzekł enkawudzista.

Zwróciłem się do komendanta z propozycją żeby kupił mój zegarek. Chętnie na to przystał. Kazał przynieść zegarek. Dał mi za niego 100 rubli. Widmo śmierci głodowej na jakiś czas zostało zażegnane.

Czasami udawało mi się wypracować ponad normę. Dostawałem wówczas , premię, 7 rubli na dzień. Tak dotrwaliliśmy do sezonu letniego.

10 kwietnia 1940 roku żona urodziła syna Władysława. Po porodzie bardzo osłabiona, nie mogła karmić dziecka, nie miała pokarmu, nie było też mleka. Dziecko czuło się coraz gorzej. Żona ochrzciła je z wody i niestety, po 14 dniach zmarło.

Prosiłem komendanta o trumienkę i pomoc w zorganizowaniu pogrzebu. Otrzymałem deski na trumnę. Musiałem ją sam zbić. Prosiłem o konie , aby zawieźć trumnę na cmentarz, na szczęście nie odmówił. Teren przeznaczony na cmentarz znajdował się dość daleko, na wyrębie przy posiołku Wytrwały. W posiołku tym także mieszkali zesłańcy polscy. Miedzy innymi mój kolega z pracy w Leśnictwie Czartorysk i przez jakiś czas sąsiad przez ścianę w gajówce – Teofil Chomicki z rodziną. Teofil w tym samym czasie co my, 10 lutego 1940 roku – z żoną Marią i czwórką dzieci Heleną (moją chrześnicą), Danutą, Henrykiem i Stasią, tym samym transportem zostali wywiezieni do tajgi syberyjskiej i umieszczeni kilka kilometrów od naszego posiołka, w jeszcze gorszych warunkach niż nasze. Rodzaj pracy ten sam, wycinka tajgi, karczowanie pni drzew i czyszczenie terenu leśnego.

Gdy przygotowywałem się do pogrzebu, Teofil Chomicki zjawił się u nas w baraku. Bardzo się ucieszyłem, miałem pomocnika. Obaj załadowaliśmy trumnę na sanki, zaprzęgliśmy konia i obaj pojechaliśmy na cmentarz. Droga była ciężka, roztopy i rozkruszone lody. Trzeba było przejechać rzekę w bród. Zimą zamarznięta, nie było więc problemu, teraz kra ruszyła, bród trudny do przejazdu. Koń zaczął się ślizgać, sanki wywróciły się, trumienka wypadła do wody, zaczęła płynąć szybko z prądem rzeki. Musiałem wejść do lodowatej wody i ją łapać. Napelniła się wodą i trzeba było odbić wieko i wylać wodę. Rozpacz pogłębiła się. Razem z Teofilem, który znał drogę do cmentarza, przenieśliśmy trumienkę i tam zaczęliśmy kopać grób. Ziemia zamarznięta i kamienista. Kilof i łopata nie na wiele się przydały. Wykopaliśmy niestety płytki grób. Przykryliśmy trumienkę kamieniami i ziemią oraz wbiliśmy brzoźowy krzyżyk.

Był to pierwszy grób polskiego dziecka na tym syberyjskim cmentarzu.

Przyszła wiosna, śniegi topniały, ścinę drzew zakończono, zaczął się transport drewna. Potężne kłody 30-metrowe i większe, ściągaliśmy z pomocą koni nad brzeg rzeki Litnicy. Gdy woda przybrała, wtaczaliśmy drewno do rzeki na spław. Tempo pracy ogromne, drzewa dużo, a zgodnie z przewidywaniami woda zaczęła opadać. Ludzie padali ze zmęczenia i głodu, umierali. Nie było litości.

Po spławie drzew zaczęła się letnia wycinka drzewa. Wędrowaliśmy około 20 km w głąb tajgi. Tam ścinaliśmy, korowaliśmy i transportowaliśmy drzewo końmi, do wybudowanej przez zesłańców kolejki żelaznej.

Wszyscy mężczyźni z naszego posiołka oraz kobiety nie mające małych dzieci, zostaliśmy wysłani nad rzekę Litnicę. W posiołku pozostały matki z dziećmi. Także moja żona z trójką. 5-letni Romuald był chory. Nie mógł chodzić, tylko stał w stojaku. Wymagał ciągłej, wszechstronnej opieki. Także Feluś, mający nie całe 1,5 roku, słaby bo niedożywiony, wychowywany na wodzie bo mleka nie było. Moje zarobki nie wystarczały na wyżywienie. Żona zdecydowała się pójść do pracy. Dzieci zostały pod opieką niespełna 11-letniego Ryszarda.

Żona rąbała drzewo na nieduże klocki, które służyły do napędzania traktorów na gaśienicach, zwanych „stalinówki”. Drzewo spalało się, a wytworzony gaz umożliwiał ich rozruch. Za skrzynkę takiego drzewa płacili 1 rubel. To był całodzienny zarobek żony. Więcej nie zdołała urąbać, była słaba, głód dokuczał. Ryszard zauważył, że kucharki wyrzucają obierki ziemniaczane. Zakradał się pod śmietnik i wybierał je. Zauważył to enkawudzista, przepędził chłopca i zakazał tego wybierania. Ryszard jednak ukrywając się, podchodził pod śmietnik, brał ile się dało i uciekał. Gotowali te obierki i zjadali. Inne dzieci też tak robiły.

Zmieniono mi zajęcie. Kazano razem z 10-cio osobową brygadą pracować na żelaznej kolejce wąskotorowej. Ponad 10 km od posiołka z rodziną. Praca ciężka. Karczowaliśmy pnie na trasie, którą miała przebiegać kolej żelazna. Ciosaliśmy podkłady kolejowe, układali w stosy i przemieszczali je wzdłuż terenu przyszłej kolejki. Tempo pracy ogromne, kazano się spieszyć. Pracowaliśmy też w nocy. Noce były jasne, zorza świeciła jak słońce. Udało się nam nawet zarobić 75 rubli na tydzień. Za wyżywienie płaciliśmy. Trzeba było kupić chleb, zupę i kaszę. W ciągu dnia byliśmy o chlebie i wodzie (kipiatok). Wieczorem, po powrocie, szliśmy do stołówki gdzie kupowaliśmy zupę (krupnik, rybna, grzybowa) i kaszę na gęsto. Każda porcja 1 rubel. To dużo, bo trzeba było oszczędzać pieniądze na wyżywienie rodziny. Z rodziną widziałem się tylko w niedzielę - one były wolne od pracy.

Droga do posiołka bagnista, porośnięta krzakami, parę kilometrów szło się po drewnianych podkładach, które sami zrobiliśmy. Przychodziliśmy późną nocą. Nie wiele czasu spędzaliśmy z rodziną.

Pewnego razu, wracałem z kolegą, na naszej drodze stanął niedźwiedź, ze 35 metrów od nas – zamarliśmy. Niedźwiedź patrzył na nas, stanął na 2-ch łapach. Zaczęliśmy krzyczeć - wówczas oddalił się. To była chwila grozy.

Lato trwało bardzo krótko, ale obfitowało w plony. Żona zbierała maliny, z których robiła konfitury bez cukru, bo go nie było. Zbierała grzyby i suszyła. Zupa z grzybów była podstawą wyżywienia. Był też szczaw i lebioda. Ryszardowi udawało się złapać rybę w pobliskim jeziorze i tak przeżywaliśmy lato. Wędrówka za grzybami często kończyła się tragicznie. Łatwo było zabłądzić. Bywały przypadki, że osoby, które zabłądziły odnajdywano już martwe. Żonie też zdarzało się zabłądzić, na szczęście na wołanie o pomoc ludzie zareagowali.

Kończyło się lato, nadchodził głód. Znowu nie było co jeść. Ludzie chudli z głodu, umierali, wymierały całe rodziny.

Pracowałem ile tylko sił wystarczyło, aby wyżywić rodzinę. Nie byliśmy w najgorszej sytuacji. Podobnie kilka jeszcze rodzin. Składaliśmy się więc na tych biedniejszych, słabszych. Ale ile można było pomóc w tej nędzy?

Powoli uczyliśmy się żyć w tej nowej sytuacji. Lesomajster przydzielał rodzinom po kawałku ziemi pod ogródki. Z chwilą gdy lody puszczały i zaczynał topić się śnieg, ryliśmy tę ziemię, aby coś posadzić. Lato zaczynało się około 15 czerwca i trwało do połowy września. Wiosny w zasadzie nie było. Siarczysty mróz, odwilż i zaraz ciepło, bez okresów przejściowych. Roślinność rozwijała się w oczach, przyroda „wybuchwała”.

W lasach przeważały świerki i brzoza. Sosny nie było. Dużo zwierząt – dziki, niedźwiedzie, jelenie, sarny, a także wilki. Wiele osób zginęło rozszarpanych przez niedźwiedzie i wilki. Polować nie pozwalano. Zresztą nie było czym.

Maliny, czarne jagody pojawiały się z dnia na dzień. Dni były długie, ciepłe, a noce jasne. Ptaków mało, młode wymarzały z nadejściem mrozów, a te zwykle sięgały -40°C .

Mając kawałek ziemi zacząłem się starać o ziemniaki na posadzenie. Skąd wziąć? Od posiołka nie wolno się oddalić, a jedynie kołchoźnicy, porozrzucani dziesiątki kilometrów od nas, mogli nam je sprzedać.

Pewnej niedzieli, rankiem uciekliśmy z żoną z zamiarem dotarcia do kołchozu. Żona wzięła płaszcz, który jeszcze ocalał, a który nie bardzo chronił przed siarczystymi mrozami. Nosiliśmy watowane kufajki i walonki. Kupiłem je w miejscowym sklepie.

Wędrowaliśmy lasem, a droga nie łatwa. Korzenie drzew nie tak jak w naszych lasach są głęboko w ziemi, tutaj na wierzchu, płytko – przez co podłoże nierówne. Wciąż się potykaliśmy, pośpiech był naszym jedynym ratunkiem.

Po kilku godzinach wędrówki ujrzelśmy osadę kilku chałup. Weszliśmy do pierwszej. Przywitał nas mężczyzna około 40 lat i jego żona, która akurat piekła placki z ziemniaków. Powiedzieliśmy co nas sprowadza i że nie mamy pieniędzy, ale mamy płaszcz i czy by nie dali za niego ziemniaków? Zgodzili się. Dostaliśmy 40 kg ziemniaków w dwóch workach. Mogliśmy więc zanieść je na plecach do posiołka.

Po transakcji poczęstowali nas plackami i wódką. Gdy gospodyni wyszła, mężczyzna rozgadał się.

Opowiedział swoje dzieje. Został zesłany z Ukrainy. Sowieci przywieźli ich przed laty głęboką nocą w to miejsce, gdzie my mieszkamy, i zostawili pod gołym niebem. Nie było baraków, szałasów, nie było nic. Kazali wybudować baraki. Wielu ludzi zmarzło, nie doczekawszy się końca budowy. Te baraki gdzie mieszkamy, to ich ciężka praca. Także byli zatrudnieni przy wyrębie lasu, ale przede wszystkim przy budowie kolei żelaznej, na której teraz ja pracowałem.

„Pod każdym podkładem leży człowiek” – mówił. Ludzie masowo umierali. Liczni popełniali samobójstwo. Ginęli z głodu.

Po kilku latach przenieśli ich do kołchozów. Baraki zostały zwolnione dla zesłańców polskich.

W kołchozach też bieda, za dzień pracy dostawali trochę zboża lub innych produktów. Pieniędźmi nie płacili. Ratował ich przydomowy ogród, gdzie sadzili kartofle, cebule i inne warzywa. Wolno im było mieć krowę. To jedyna żywicielka rodziny, ale o paszę też trudno, nie było siana.

Gdy wróciła jego żona - przestał mówić, wyraźnie bał się. Potem często widzieliśmy, że w rodzinach jedni drugich się boją.

Posadziliśmy ziemniaki. Rosły szybko, ale do września nie zdołały dojrzeć. Skórka cienka, miąższ wodnisty. Jedliśmy je codziennie, aby się nie zmarnowały. Na zimę nie nadawały się do przechowywania.

Wykradliśmy się więc z posiołka kolejnej niedzieli i ruszyliśmy do kołchozu, aby kupić kartofle na zimę. Poszedł z nami syn Ryszard. Przynieśliśmy 50 kg ziemniaków. Był więc pewien zapas. Już jedliśmy prawdziwe zupy, a nie tylko wodę z lebiodą.

Pozwolono nam na napisanie listów do rodzin w Polsce. Napisałem do brata żony. Dzięki Bogu list dotarł. Jerzy zaczął nam przysyłać paczki żywnościowe, w tym słoninę, mąkę i kaszę. Przestaliśmy tak strasznie głodować. Zaczęły dochodzić listy, nawet spod okupacji niemieckiej. Napisał brat z Wołynia. Nie czuliśmy się tak osamotnieni. Każda wiadomość wlewała otuchę w nasze serca, mimo, że komendant i lesomajster mówili, że z tego posiołku nigdy nigdzie nie wyjedziemy, żebyśmy zapomnieli o naszej Polsce i że „waszej Polski już nigdy nie będzie”. Mamy się tutaj zagospodarować bo tutaj będziemy żyć do śmierci. Na przydzielonych działkach mamy pobudować sobie chałupy, materiały dostaniemy. Dadzą pożyczki na zakup krów i kur. Działki należy wykarczować z drzew, przystosować do zabudowy i uprawy. Zaczęli przydzielać działki, poprosiłem za jeziorem. Dostałem działkę numer 10 wielkości 20 arów. Korzystając z resztki lata, po pracy zacząłem ją karczować. Podobnie uczynili inni Polacy. Po paru dniach ciężkiej pracy przyszło jakieś opamiętanie – przecież my nie chcemy zostać tutaj na stałe. Przerwaliśmy karczowanie. Mimo nakazów enkawudzisty, powiedzieliśmy, że nie będziemy brać pożyczki i nie umiemy budować domów.

Wyrażenie zgody na to, przekreśliłoby naszą nadzieję na powrót do Polski. To było by psychicznie nie do zniesienia.

Czas płynął. Niewolnicza praca trwała. Pracowaliśmy dalej przy wyrębie drzew, karczowaniu lasu, spławie Litnicą oraz na kolejce wąskotorowej.

Mieszkaliśmy w barakach, które były siedliskiem szczurów i pluskiew. Po wszystkich posiołkach było ich moc. Ciała nasze były tak pogryzione przez pluskwy, że tworzyły się rany. Szczury w nocy chodziły po głowach, gryzły małe dzieci.

Chleb i inną żywność trzeba było wieszać pod sufitem, inaczej szczury zjadły by wszystko. Do tego jeszcze wszy. Ludzie chorowali i puchli z głodu – umierali. Na cmentarzu wciąż przybywało polskich grobów. Dyscyplina zaostrzała się, panował terror i upodlenie. Nadzieja malała.

Pewnego dnia gdy układaliśmy kolejne podkłady kolejowe, zjawił się enkawudzista i zarządził zebranie. Przeraziliśmy się, bo każde zebranie kończyło się obostrzeniem dyscypliny lub karami. Jakież było nasze zdziwienie gdy enkawudzista zaczął przemowę od „grażanie”, to jest obywatela.

Chcę was zawiadomić, że Niemcy hitlerowskie napadły na naszą ojczyznę (rok 1941), a Polacy zostali naszymi sojusznikami i wy od dzisiaj jesteście wolni. Jeszcze przemawiał, ale do nas już nie docierały jego słowa. Rzuciliśmy wszystko i pobiegliśmy do naszych rodzin. Te dziesiątki kilometrów do osiołka przebyliśmy jak na skrzydłach. Radość dodawała nam siły.

Na miejscu dowiedzieliśmy się, że generał Sikorski 12.08.1941 roku w Moskwie podpisał z Rosją umowę, na podstawie której, wszyscy obywatele polscy podlegają amnestii i będzie organizowane wojsko polskie.

Zesłańcy mogą wyruszać do Buzułuku, gdzie będą kierowani do odpowiednich dywizji.

Pisaliśmy listy do Związku Polaków Polskich, który powstał w Rosji, do władz wojskowych w Buzułuku – odpisywali, żeby wstępować do wojska, ale radzili rodziny zostawiać na miejscu. Takie same rady słyszeliśmy od enkawudzisty. Nie chcieliśmy nawet o tym myśleć. Tylko z rodzinami stąd uciekać!

Nadal pracowaliśmy, ja na kolei żelaznej lub na spławie drzew, bo trzeba było zarobić na podróż. Pracowałem do jesieni 1941 roku. W listopadzie odebrałem wypłatę – 200 rubli i wróciłem do rodziny. Żona zdążyła wszystko spakować, rzeczy zbędne sprzedała kołchożnikom. Nasuszyła sucharów z chleba kupionego w kołchozie. Kupiła też mięso z niedźwiedzia, które odpowiednio zakonserwowała. Twierdziła, że żywności powinno nam wystarczyć na 2 tygodnie.

Syn Ryszard znalazł kiedyś w lesie płozy do sanek, zrobił więc sanki i one miały nam służyć do przewiezienia rzeczy, a przede wszystkim małych dzieci.

Wyjazd z Sybiru

2 listopada 1941 roku załadowaliśmy sanki i wyruszyliśmy ku wolności. Przed nami ponad 40 km lasem do stacji kolejowej. Już tę trasę przemierzaliśmy 2 lata temu. Znowu trudna droga, nie do opisania jaki wielki wysiłek. Teraz popychała nas do przodu ... nadzieja. Szliśmy cały dzień, wieczorem dotarliśmy do rzeki Letnicy. Trzeba było przeprawiać się na drugi brzeg w bród, lód był połamany. Prowizoryczna tratwa, przy każdej próbie przeprawy, wpadaliśmy do wody. Dzieci mokre, rzeczy namoknięte, mróz nasila się. Z trudem przebrnęliśmy rzekę. Musieliśmy ruszać dalej, aby nie zamarznąć. Ciemno już było, gdy dotarliśmy do jakiegoś kołchozu. Zastukałem do pierwszej napotkanej chałupy.

Poprosiłem o nocleg. Trafiłem na dobrego człowieka, przyjął nas. W mieszkaniu było ciepło, kazał nam rozebrać się i wysuszyć rzeczy. Gospodyni dała jeść. Położyliśmy się na podłodze i natychmiast zasnęli.

Rano poprosiłem kołchoźnika żeby zawiózł nas na stację, bo to jeszcze 20 km. Zgodził się. Kolejny raz przekonałem się, że kołchoźnicy, którzy sami przeszli katorgę i żyli w biedzie, nigdy nie odmawiali pomocy biedniejszym. Zawsze okazywali życzliwość i współczucie.

Na stacji było już bardzo dużo rodzin. Także mój kolega Teofil Chomicki z żoną i czwórką dzieci. Jego rodzina jako jedna z nielicznych, wracała z Sybiru w komplecie. Łzy radości płynęły po wszystkich twarzach.

Ładowanie się do wagonu nie było łatwe. Tłok. Pociąg stał zaledwie chwilę, ale udało się. Wszyscy wskakiwali gdzie się dało, a potem szukali się w wagonach.

Dojechaliśmy do Charowska. Tutaj mieściło się NKAWUDE – to które nas gnębiło przez 2 lata.

Obowiązkiem naszym było zgłosić wyjazd. Udałem się więc i powiedziałem, że jadę do wojska polskiego, a rodzinę zostawię gdzieś blisko siedziby wojska. Nawet byli życzliwi. Wydali dokumenty, kartki na zupę i chleb, życzyli szczęścia. Ono niestety nie sprzyjało. Na stacji tłok, setki ludzi. Biletów brak bo wagony przeładowane. 3 dni i 3 noce przesiedzieliśmy na dworze pod stacją. Zmarznięci, głodni i zmęczeni, pełni rozpaczy co dalej? Namówiłem ludzi, aby gdy pociąg przyjedzie wsiadać bez biletów. Tak wszyscy zrobili. Wcisnęliśmy się z wielkim trudem, ale jechaliśmy dalej. Konduktor chciał wypisać karę, w tym tłoku nie zdążył wrócić i dojechaliśmy do Wołogdy gdzie wysiedliśmy, aby przesiąść na pociąg do Buzułuku.

Na stacji niebываły tłok. Nie ma mowy o zdobyciu biletów. Zmęczeni do granic możliwości, wszystkich ogarnia rozpacz. Wówczas przyszła mi zbawienna myśl – idziemy do Wojenkomatu w Wołogdzie. Zebrało się nas kilkunastu mężczyzn i poszliśmy. Tam przyjęto nas przyjaźnie, przecież idziemy do wojska. Wydali nam wojskowe dokumenty, bilety i karty żywnościowe dla nas i naszych rodzin. One torowały nam drogę do Buzułuku.

Ponieważ inicjatywa wszelkich spraw organizacyjnych pochodziła ode mnie, kilka rodzin trzymało się z moją rodziną. Zaufali mi i prosili o załatwienie wszelkich formalności. Po otrzymaniu więc dokumentów z Enkawude przekazali mi je, abym dalej wszystko załatwiał.

Najpierw poszedłem do magazynów żywnościowych, pobrałem prowiant dla 4 rodzin na 3 dni. Dalszy prowiant trzeba było załatwiać na postojach w drodze do Buzułuku. Otrzymałem cukier (co za radość, 2 lata nie mieliśmy go w ustach), zupy w kostkach, kielbasę, chleb i suchary.

Radość rodzin, a zwłaszcza głodnych dzieci była ogromna. Podzieliłem prowiant, chcę oddać dokumenty, które trzymałem w kieszeni kufajki i nogi się pode mną ugięły – dokumentów nie ma. Trudno opisać przerażenie i rozpacz

wszystkich. Te dokumenty to przepustka do wolności i ucieczka przed śmiercią głodową.

Powiadomiłem milicję, przeszukiwania nic nie dały. Na stacji mrowie ludzi, jak więc znaleźć złodzieja?

Poszedłem znowu do Wojenkomatu prosić o pomoc. Komendant z krzykiem wyrzucił mnie za drzwi twierdząc, że dokumenty sprzedałem i chcę wyłudzić następne. Rozpacz moja nie miała granic. Ludzie mi zaufali, a ja zawiodłem ich. Nie mogliśmy dalej ruszyć. Przez tydzień tkwiliśmy na stacji. Zapasy żywności skończyły się. Poszedłem do komendanta Enkawude, błagam o pomoc. Dał mi zaświadczenie, że zgubiłem dokumenty swoje i 3 pozostałych rodzin. Na tej podstawie zacząłem szukać miejsca w pociągach. Biletów nie było. Przyjechał pociąg wojskowy, ale z ludźmi ubranymi po cywilnemu. Prosiłem, aby nas zabrali. Okazało się, że jadą na front kopać okopy. Są też rosyjskimi i ukraińskimi zesłańcami. Jechali do Kirowa. Zgodzili się nas zabrać. Wszyscy szybko załadowaliśmy się i pociąg ruszył. Ciasnota wielka, nasi dobroczyńcy to brudni, zawszeni i zapluskwieni ludzie. Zaraz i nas one oblażyły. Pociąg miewał często długie postoje, droga się dłużyła. Głód doskwierał coraz bardziej. Udało mi się kupić gdzieś na trasie kilka główek kapusty. Jedliśmy więc te liście na surowo, ale siły coraz bardziej opadały. Puchliśmy z głodu.

Na jednym z postojów zauważyłem jakiś drugi transport. Wyszedłem z wagonu aby dowiedzieć się dokąd jadą. Nogi odmawiały posłuszeństwa, chwając się, z trudem pokonałem te kilkanaście metrów. Okazało się, że pociąg też jedzie do Kirowa. Prosiłem by zabrali nasze rodziny. Zgodzili się.

Do Kirowa przyjechaliśmy głęboką nocą. Stacja rozległa. Dużo transportów osobowych i towarowych. Budynku żadnego nie widać, nasz pociąg zatrzymał się gdzieś na odległej bocznicy. Gdzie się wyładować?

Oslabieni głodem, z trudem ciągnęliśmy nasze nogi. Kobiety musiały jeszcze nieść dzieci. My tłumoki. Trzeba było przechodzić pod wagonami. Wysilek trudny do opisanie. Wreszcie dotarliśmy do budynku dworca. Tłok ogromny. Nie można dostać się do poczekalni. Znalazłem korytarz prowadzący do ustępów i tam ulokowałem na tłumoczkach naszych ludzi. Sam z 2-ma mężczyznami ruszyłem na poszukiwanie żywności.

W jednej z sal dworca mieścił się bufet. Kolejka ogromna. Do środka wpuszczano po kilka osób. Trwało to bardzo długo. W środku okazało się, że sprzedają po jednym talonie na jedną porcję zupy i 200 gram chleba. Trzeba to zjeść na miejscu. A ja mam 5-osobową rodzinę.

Gdy otrzymałem supę usiadłem przy stoliku i szubko wlałem ją do garnka, który zawsze brałem ze sobą szukając żywności. Znowu stanąłem w kolejce. 3 razy tak obracałem. Wracam do swoich, wszyscy śpią. Budzę, aby nakarmić żonę i dzieci, szukam też naszych tłumoczków. Największego nie ma. Tam mieliśmy resztę odzieży, schowane ślubne obrączki i moje pamiątkowe odznaczenia. Cały nasz „majątek” został skradziony. Rozpacz wielka. Zostaliśmy w tym co na sobie i do tego zawszeni. Fakt kradzieży zgłosiliśmy na milicji i enkawude.

Wzruszyli tylko ramionami. Wiele ludzi zostało okradzionych, zerowali na naszym osłabieniu i bezsilności.

Błąkaliśmy się po mieście i wracaliśmy na dworzec. Zbieraliśmy po śmietnikach oberki i inne odpady nadające się do jedzenia. Upodlenie i głód.

Przypadkowo dowiedziałem się, że w Kirowie jest polska placówka. Dotarłem do niej i zgłosiłem, że nasze 4 rodziny usiłują dostać się do Buzułuku do polskiego wojska. Komendant powiedział, że będzie organizowany transport, trzeba jednak zebrać ludzi na jeden wagon tj. około 40 osób. Wtedy ten wagon zostanie zamówiony i po załadowaniu dołączony do formującego się transportu. Co robić, jest nas za mało, 4 rodziny. Polacy, z chwilą gdy ogłosili amnestie rozsypali się po całej Rosji. Chomiccy też gdzieś odjechali.

Rozpytywałem wśród oczekującego tłumu, rodaków nie było. Znalazłem jednak kilku chętnych Żydów, Cyganów i Ukraińców z rodzinami. Uzbierało się 40 osób. Dostaliśmy wagon oraz wg spisu ludzi kwit na chleb – 2 bochenki na osobę. We trzech – ja, pewien Żyd i Cygan poszliśmy do piekarni po chleb. Oczywiście, po długim odstaniu w kolejce, kwit okazaliśmy i obsługujący po dokładnym obejrzeniu go poszedł ładować bochenki do worka. Kwit zostawił na ladzie. Cygan błyskawicznie schował go do kieszeni. Zabraliśmy worek i szybko wyszliśmy z pomieszczenia. Na ten kwit pobraliśmy jeszcze raz taki sam przydział chleba.

W tym dniu dziękowałem Bogu za to, że obdarzył Cyganów takim sprytem.

Ruszyliśmy, gdy uformował się skład 60 wagonów. Jechaliśmy z częstymi postojami. Na jednym z nich, w nocy, zaniepokoiły mnie manewry i nagła cisza. Wszyscy spali.

Wyszedłem z wagonu, zobaczyłem, że jesteśmy przyłączeni do innego składu. Zaniepokoiłem się. Dokąd jedziemy – pytam kolejarza. Na wschód. Zamarłem, znowu na Sybir? Obudziłem ludzi, pobiegliśmy do dyżurnego ruchu, pokazaliśmy zaświadczenia, że jedziemy do wojska do Buzułuku, że muszą nas odłączyć. Zamieszanie wielkie. Odłączyli nasz wagon i skierowali do transportu w kierunku Buzułuku. Reszta wagonów została, czy wrócili znowu na Sybir? Nie wiadomo.

Podróż była bardzo trudna, nadzieja trzymała nas przy życiu. Na jednej ze stacji kolejarz każe wysiąść z każdego wagonu po 4 osoby i udać się do magazynu po chleb. Wzięliśmy koce i worki, ruszyliśmy do magazynu, który był odległy o ponad kilometr. Tam pozwolono nam brać chleb. Załadowaliśmy ile kto mógł unieść. Wracamy szczęśliwi, a tu nie ma naszego transportu, odjechał. Kolejarz zapewnia, że będzie czekać na nas na następnej stacji. Przed nami 10 km pieszko. Zimno – mróz, śnieg, wiatr – chleb coraz bardziej ciąży. Niektórzy zaczęli wyrzucać po bochenku, początkowo myślałem, że gubią nawet zbierałem, ale wkrótce sam utraciłem siły i część chleba zostawiłem. Pół żywi dowlekliśmy się do stacji. Transportu nie ma, odjechał. Pozwolono nam wsiąść na odkryte platformy przewożące jakieś żelazo i gonić tym składem wagony z naszymi rodzinami. Gdy pociąg ruszył zaczęliśmy zamarzać. Skostnieli, z odmrożonymi

twarzami, z trudem zdołaliśmy wysiąść na kolejnej stacji. Tutaj też nie dogoniliśmy naszych. Na osobowe pociągi nie sprzedają biletów, brak miejsc. 3 dni czekamy na próżno. Zdecydowałem, że wsiadamy gdzie się da i jedziemy na gapę. Tymczasem do wagonów nie możemy się dostać, pozamykane. Czepiamy się buforów i stopni. Jedziemy, ale kilka osób odpadło, w drodze. Czy zostali przy życiu? Dojechałem z grupką nieszczęśników takich jak ja do stacji i znowu trzeba zostać. Siły opuszczają. Stacja mała, w szczerym polu, żadnych zabudowań. Zimno przeraźliwe. Sytuacja tragiczna.

Szukam jakiegoś człowieka, nie ma nikogo, cisza. Na jednym z torów stały wagony, idę wzdłuż i słyszę jakieś głosy – stukam, otwiera drzwi żołnierz sowiecki. Opowiedziałem co nas spotkało i proszę, żeby pozwolili wejść. Zgodzili się. W wagonie był żelazny piecyk, moi ludzie, przynieśli jakieś patyki i rozpaliliśmy ogień. Zaczęliśmy odmarzać. Ten kto zna ból po odmrożeniu, zrozumie co przechodziliśmy. Byliśmy jednak uratowani.

Dotarliśmy do Czelabińska. Dowiadujemy się, że nasz transport dopiero co odjechał. Nie ma jednak szans na dalszą jazdę, nie ma biletów, pociągów mało. Czekamy kolejne 3 dni, a nasze rodziny jadą bez nas, w nieznane.

Okazało się, że w Czelabińsku jest polska placówka. Udałem się tam. Wyprosiłem bilet dla całej grupy i należało go tylko na stacji podstępłować. Niestety, kasjer nie chce tego zrobić – brak miejsc. Zdecydowałem, że nie zważając na nic, wsiadamy do najbliższego pociągu. Udało się, mieliśmy miejsca siedzące. Dojechalśmy do Orenburga miasta pod Uralem. Wyglądam przez okno i zobaczyłem dziewczynkę z naszego wagonu. Narobiłem krzyku, wyskoczyłem za nią i dogoniwszy dowiedziałem się, że zaraz ruszają dalej. Wszyscy jak na skrzydłach ruszyliśmy za nią. Radość rodzin była wielka. Niestety nie wszyscy z mojej grupy co wyszli po chleb odnaleźli swoje rodziny. Okazało się, że z 10-ciu wagonów zostały 3. Co z resztą? Do dzisiaj nie wiem. Żona opowiadała, że wiele ludzi w tym czasie umarło z głodu. Na stacjach, podczas postoju wynoszono liczne ciała kobiet, dzieci i starców. Zostali pozostawieni na nasypach kolejowych. Ją uratowało to, że zostawiłem marynarkę z pieniędzmi i mogła kupować żywność dla siebie i dzieci. Pieniądze się kończyły. Za bochenek chleba płaciła spekulantom 21 rubli.

Nasz okrojony transport i wciąż zmniejszająca się ilość żywych, został skierowany do Taszkientu zamiast do Buzułuku.

Kolejne tygodnie podróży i głód coraz większy. Na najbliższym postoju wysiadłem, wziąłem ostatnią paczkę tytoniu, poszedłem do pobliskiego kołchozu. Wszedłem do chałupy i widzę, że w sieni stoi worek z ziarnem. Wszedłem do izby i proszę kołchoźnika żeby za ten tytoń dał mi kartofli. Dał, ale tylko kilka, kazał wynosić się. Wychodząc zarzuciłem na plecy worek ze zbożem i w nogi. Ufam, że Pan Bóg wybaczy mi tę kradzież.

W wagonie szybko przebrałem się w kufajkę syna i jakieś rzeczy żony bo wiedziałem co zaraz będzie. Rzeczywiście, kołchoźnik przybiegł pod nasz

transport, zagląda do każdego wagonu, a ja jakby nigdy nic spaceruję. Na szczęście pociąg wkrótce ruszył.

W worku było około 20 kg żyta. Rozcieraliśmy ziarno między dwiema cegłami, żona gotowała kasze i to uratowało nas i resztę ludzi z wagonu od śmierci głodowej.

Najgorsze były wszy i brak odzieży. Wciąż nosiliśmy te same rzeczy, bo wszystko nam ukradli złodzieje w Kirowie.

Podróż trwała i nie wiadomo było kiedy się skończy. Kolejna fala głodu. Na postojach przeszukiwałem śmietniki, wybierałem wszystko co jadalne, ale tego nie było wiele, wszędzie przecież bieda i głód.

Dojechalismy do Taszkientu. Pogoda wiosenna, ciepło. Wyruszyliśmy na poszukiwanie żywności, chleba. Wszędzie niekończące się kolejki. Po kilku godzinach udało się, mieliśmy chleb.

Do Taszkientu, na południe Rosji, podążali Polacy z Sybiru, aby uciec od chłodu i głodu, aby poprawić swój los. Tysiące osób nie dojechało – zostali po drodze. Głód zbierał żniwo.

W Taszkientcie rozczarowanie, nie ma miejsca dla Polaków. Koczowali pod gołym niebem, bez środków do życia. Z Taszkientu udało się wsiąść do pociągu jadącego do Buchar w Uzbekistanie. Dojechalismy bez większych przeszkód.

W Bucharze staliśmy 3 dni. Władze nie wiedziały co z nami zrobić, widocznie czekały na instrukcje. Wreszcie ruszyliśmy.

Dalsza droga wiodła przez pustynię. Żadnych miast, zabudowań. Żadnych drzew tylko kolące chwasty, a trzeba było je rwać na postojach do palenia w wagonowym żelaznym piecyku.

Na każdym przystanku wygrzewaliśmy się na słońcu, było bardzo ciepło, upragnione ciepło! Czyściliśmy odzież z wszów i pluskiew.

Pewnego dnia dojechalismy do jakiegoś przystanku. Nie było żadnego budynku. Dookoła pustynia. Odczepili nasze 3 wagony i czekamy. Nie można niczego się dowiedzieć. Wreszcie przyjeżdżają jakieś wozy na 2 kołach zaprzężone w osiołki. Przyjechali z NKWD i każą nam przeładować się do tych wozów, nazywając je „arby”. Ludzie podnieśli krzyk, tutaj pustynia, dokąd nas przywieźli, protestują.

Dyżurny ruchu informował, że dalej nie pojedziemy, na nic protest. Widząc, że nic nie poradzimy daję przykład – pierwszy wynoszę rzeczy i ładuję na te wózki. „Arby” są wysokie, przypominają skrzynię na kołach, do której między dwoma dyszlami zaprzęgnięty mały osiołek. Z trudem ładuję na nie dzieci, podsadam żonę i sam biorę za lejce. Ludzie widząc to, za moim przykładem załadowali się do tych wozów i ruszyliśmy. Istna pustynna karawanna – tylko zamiast wielbłądów – osiołki.

Po kilku godzinach dojechalismy do miasteczka Guzar. Dziwne to miasto – małe domki ulepione z gliny, bez dachów, na ułożonych belkach położone tkaniny – derki. Bez drzwi i okien. Wszystkie domki jednakowe.

Kazali się nam wyładować i wprowadzić na nocleg. Dostaliśmy po porcji jakiejś zupy i po placku, upieczonego z żytniej mąki, nazywanego „lepioszka”.

Rano podzielili nas na grupy – brygady i oświadczyli, że jedziemy do kołchozów, gdzie będziemy pracować. Zostałem wybrany na brygadzystę swojej grupy. Wywieźli nas do kołchozu im. Karola Marksa odległego od miasteczka około kilometra, mieliśmy szczęście. Inne grupy zabrano gdzieś do odległych kołchozów, w góry i słuch po nich zaginął.

Zamieszkaliśmy w lepiankach bez dachów i okien. Miejscowi nazywali je „kibitki”. Dostałem – jako brygadzysta – osobną kibitkę, tylko dla mojej rodziny. Była w niej mała kuchnia z piecem z gliny. Żona mogła gotować.

Inne rodziny gnieździły się we wspólnych salach bez kuchni, musieli na zewnątrz rozpalać ogniska i jakoś sobie radzić.

Dostawaliśmy po 1 lepioszce dziennie, nic więcej. Udałem się więc do kierownika kołchozu „prosfiedatiela” i poprosiłem żeby zamiast lepioszek dali nam mąkę. Zgodził się. Wypadło 200g na osobę. Od kołchoźników kupowaliśmy mleko i mogliśmy jeść zacierki. Warunkiem otrzymania przydziału mąki było pójście do pracy w kołchozie. Ludzie niechętnie szli do roboty, byli bardzo wycieńczeni głodem i trudną drogą, nie mieli siły. Proszę więc „prosfiedatiela” aby pozwolił nam odpocząć, nabrać sił. O dziwo zgodził się, może widział, że nie będzie z nas pożytku? Ludzie jak kościotrupy, w łachmanach, zawszeni.

Do Guzar w Uzbekistanie przyjechalismy 15 grudnia 1941 roku. Z Sybiru uciekliśmy 2 listopada. Podróż więc trwała 45 dni, dla nas wieki.

Cieszyliśmy się ciepłem, zielenią traw i kwitnącymi stokrotkami. Niedaleko płynęła mała rzeczka, z gór, mętna wprawdzie, ale kobiety mogły prać nasze łachmany i walczyć z wszawicą. Góry otaczały ten teren. Wysokie zawsze ośnieżone, piękne i groźne. W dole ciepło. Latem temperatura dochodziła do 70°C.

W kołchozie znajdowały się zabudowania gospodarcze: teren otoczony glinianym murem z jednym wyjściem, przy którym zawsze stał strażnik. Wewnątrz zagrody znajdowały się woły, osły, traktory oraz owce i kozy.

Uzbeki prowadzili hodowlę zwierząt. Latem wyprowadzali swoje stada w góry. Uciekali przed słonecznym żarem. Kibitki pustoszały. W kołchozie prowadzono uprawę bawełny. Przy zbiorze jej zatrudniano naszą brygadę. Nie łatwa to praca dla osłabionych ludzi. Żar z nieba i brak siły.

Kazano nam też rozbierać kibitki pozostałe po innych zesłańcach, które już rozsypywały się.

Pierwsze Boże Narodzenie i Nowy Rok 1941/ 42 w Uzbekistanie były bardzo smutne. Wiele rodzin potraciło swoich bliskich, reszta schorowana i co najgorsze pozbawiona nadziei na poprawę losu. Śpiewaliśmy kolędy. Modliliśmy się prosząc Boga o wybawienie nas z niewoli. I oto zdarzył się cud! Pewnego styczniowego dnia 1942 roku wieczorem, siedzieliśmy przed lepiankami i usłyszeliśmy jakiś daleki odgłos – śpiew, który wciąż się nasilał.

Znajoma melodia: "Pognała wołki na Bukowinę...". Poderwaliśmy się jak jeden mąż. Chłopcy i dziewczęta pobiegli szybciej, za rzeką ujrzeliśmy wojsko polskie! Słysząc mowę polską! Radość nas rozsadzała, padaliśmy sobie w ramiona. Żołnierze rozbijali namioty.

Z trudem doczekaliśmy rana. O świcie pobiegliśmy do Guzar. Tam rozlokował się sztab polski z komisją poborową. Przyjmują chłopców i dziewczęta. Oni nie namyślali się, od razu wstąpili do wojska. W kołchozie zostaliśmy my starsi, kobiety i dzieci. Nie ma komu pracować, prósiedatiel zły, grozi, że nie będzie dawać przydziału mąki. Jakoś go ubłagałem. Kto mógł wracał do pracy. Ale nie wielu mogło.

Zmiana klimatu z syberyjskiego na gorący w Uzbekistanie, nie wyszła nam na dobre. Ludzie zaczęli chorować. W mojej lepiance najpierw zachorował 12-letni Ryszard, a za parę dni 3-letni Feluś. W Guzar był szpital, udałem się tam i zgłosiłem, że dzieci chore. Przyszła lekarka i powiedziała, że to tyfus, trzeba dzieci odwieść do szpitala. Dostałem wóz i odwozłem.

Przed przyjęciem na salę przeprowadzono „dezynfekcję” – kąpiel w zimnej wodzie. Feluś na całym ciele miał wysypkę, przypominającą odrę. Po tej zimnej kąpeli, na trzeci dzień dziecko zmarło.

Żona nie wiedząc o tym, poszła odwiedzić chore dzieci. Felusia nie było, powiedzieli, że zmarł i jest wyniesiony do trupiarni. Gdy tam weszła, przeżyła szok. Pełno trupów leżących w nieładzie. Przerzucała je by odnaleźć swoje dziecko. Przyniosła je na rękach do lepianki. Dla mnie był to cios nie do opisania.

Zrobiłem trumienkę i pochowaliśmy Felusia na cmentarzu uzbeckim, w pobliżu licznych polskich grobów. Potem było ich setki.

Ryszard pokonał chorobę. Wrócił do nas wycieńczony i osłabiony. Nie było czym go odżywić. Na szczęście w kołchozie zdechł wół. Udławił się sieczką z makuchami. Uzbegy nie jedli mięsa z padłego zwierzęcia. Zdjęli tylko skórę, resztę zostawili na pustyni. Nasze kobiety gdy to zobaczyły, rozebrały całą sztukę na kawałki przyniosły do domów. Było na czym gotować zupy, a Ryszard dostał pożywniejsze jedzenie.

Kłopot był z opałem. Drzew nie ma. Krzewów kolczastych nie pozwalają Uzbegy wycinać. One im służyły do wypalania glinianych cegieł. Kradliśmy je nocami. Pewnego razu za taką kradzież omal nie trafiłem do więzienia. Stróż stojący w bramie kołchozu zauważył jak przerzucam przez płot te badyły, zaskarżył do Enkawude i następnego dnia, podczas mojej nieobecności zabrali je, a wieczorem chcieli mnie aresztować. Jedna kobieta z mojej brygady o nazwisku Niekwiejka chwyciła jakiś kij i zaczęła nim okładać tych enkawudowców. Stropieni takim jej zachowaniem, zostawili mnie i odeszli.

Podstawowym materiałem opałowym był tzw. „kiziatok”. Były to odchody bydłace, które na słońcu wysuszyły się na twarde „placki”. Wszyscy zbieraliśmy je i palili w piecykach.

Miedzy dziećmi toczyła się ostra rywalizacja o to łajno krowie. Naszym zaopatrzeniowcem był syn Ryszard.

W miarę odzyskiwania siły, większość mężczyzn zgłosiła się do wojska. W Guzarze nadal była polska komisja poborowa. Kiedy i ja poczułem się lepiej zgłosiłem się także. W kolchozie zostało trzech starych mężczyzn i kobiety z małymi dziećmi.

Bolesne było pożegnanie z rodziną, ale nie mogłem inaczej postąpić.

10 lutego 1942 roku, a więc równo 2 lata po deportacji na Sybir, wstąpiłem do Wojska Polskiego. Moja jednostka początkowo była ulokowana w pobliżu Guzaru. Tutaj przechodziliśmy przeszkolenie. Dostawałem 100 rubli żołdu, oddawałem je żonie. Ryszard przybiegał do mnie, więc oddawałem część chleba i czasami zupe. Pomagałem ile mogłem.

Pewnego dnia Ryszard zawiadomił mnie, że mama zachorowała i odwiózł ją do szpitala. Ma tyfus. Został sam z 6-letnim Romualdem, a on jak wspomniałem miał niedowład nóg, nie mógł chodzić. Sytuacja tragiczna.

Na domiar złego i ja zachorowałem. Razem ze mną 10 żołnierzy. Mieliśmy wysoką temperaturę. Wieźli nas do szpitala, jeden z kolegów zmarł po drodze.

W szpitalu po przymusowej kąpieli, wiodą nas do sali, a tam zaduch, na podłodze leżą żołnierze jeden obok drugiego, jęki. Cofnąłem się i nie chcę wejść. Pielęgniarka prowadzi mnie do drugiej sali, to samo. Mówię, że będę spać na korytarzu. Nie wolno – odpowiada. Tułałem się do wieczora po szpitalu, a potem położyłem się przy wejściu i zasnąłem. Rano budzę się, obok mnie dużo żołnierzy. Przychodzi pielęgniarka i na ich czołach atramentowym ołówkiem pisze imię, nazwisko i datę śmierci.

Ogarnął mnie strach, poszedłem do lekarza i mówię, że już jestem zdrowy, nie mam temperatury, chcę wracać do swojej kompanii. Zgodził się. Szybko zabrałem rzeczy i poszedłem do cywilnego szpitala odwiedzić żonę.

Na salę wejść nie wolno. Mogłem ją zobaczyć przez okno. Leżała nieprzytomna, z wysoką gorączką. Dałem pielęgniarce chleb dla żony, obiecała przekazać.

Udałem się do synów. Ryszarda nie było. Romuald powiedział, że poszedł do miasta szukać żywności. Zostawiłem resztę chleba, który otrzymałem w szpitalu i z rozdartym sercem wróciłem do kompanii. Zameldowałem się u lekarza, opowiedziałem jak było w szpitalu. Dostałem 3 dni zwolnienia z zajęć i dzięki Bogu wyzdrowiałem.

Żona przez 3 tygodnie walczyła z tyfusem. Gdy poczuła się lepiej, kazano synowi zabrać ją do domu. Żona nie mogła jeszcze chodzić. Ryszard wyprosił konia z kolchozu, woza nie dostał. Poszedł z koniem pod szpital i z pomocą ludzi wsadził mamę na grzbiet i tak przetransportował do lepianki. Długo jeszcze leżała na pryczy razem z Romualdem, a Ryszard był ich opiekunem.

Tyfus zaatakował cywilów i żołnierzy, szpitale przepełnione. Śmierć zbierała żniwo. Codziennie chowano 20-30 osób zawijając je w prześcieradła i wkładając do wspólnych dołów. Żołnierze kopali doły na zapas. Guzar był

jednym z największych cmentarzysk w Związku Sowieckim. Na tamtejszym ogromnym cmentarzu pochowano kilka tysięcy Polaków, których od stycznia do kwietnia 1942 roku skosiła zaraza tyfusu.

Nadal byłem w pobliżu rodziny. Pomagałem ile mogłem. Chleb i zupa żołnierska utrzymywała ich przy życiu.

Gdy żona mogła już chodzić, udała się do zorganizowanej „opieki społecznej” z prośbą o pomoc. Zaproponowano jej pracę w sierocińcu, w charakterze krawcowej. Zgodziła się. Ryszarda umieściła w organizacji „Junacy”, którą zorganizowały władze polskie dla młodzieży. Mieściła się ona w tej samej miejscowości co sierociniec. Miejscowość nazywała się Kalkim Butor.

W sierocińcu i u „Junaków” przebywały dzieci zebrane z różnych stron Rosji. Dzieci, których rodzice zginęli na wojnie lub poumierali w tułaczce, a także te, które pogubiły się w drodze z Sybiru. Często rodzice wychodząc z transportu po żywność, nie zdążyli wrócić przed odjazdem pociągu. Także dzieci oddalały się i traciły kontakt z rodzicami. Były to straszne dramaty.

W Guzar mieścił się główny punkt zborny wojska polskiego. Organizowały się tutaj kompanie, które potem były kierowane na front. Byłem w randze podoficera i szkoliłem żołnierzy. Musztra nie była łatwa. Żołnierze słabi, przecież rekrutowali się z zesłańców. Z trudem pokonywali 10 kilometrowe wymarsze, w pełnym rynsztunku, ważącym około 16kg.

Wyżywienie wojskowe było bardzo skromne. Dostawaliśmy zupę z kaszy, 50gram mięsa, 700 gram chleba. Żołnierze zrobili wagę z patyków i skrupulatnie ważyli chleb, nie pozwalali się oszukać. Chleb był najważniejszy, bo można było zrobić zapas, wysuszyć na suchary. Wciąż odczuwali głód. Często chodziłem do żony do sierocińca, tam dostawałem coś do jedzenia. Byłem więc w lepszej sytuacji.

Miesiące letnie były nie do wytrzymania. Upał 50°C. Żołnierze dusili się pod namiotami. Kopali doły – ziemianki, przykrywali je belkami, a na nie kładli badyle, trawy i w tych lochach spali.

W czerwcu 1942 roku zakończona została rekrutacja do wojska i szkolenie żołnierzy. Dostaliśmy przydział do pułków. Ja dostałem się do 23 pułku piechoty do podoficerskiej kompanii szkoleniowej w Jakubaku

Pożegnałem się z rodziną – co z nimi będzie?

W Jakubaku rozpoczęły się dalsze ćwiczenia, męczarnia ogromna. Step pokryty kłującymi chwastami. Żołnierze poranieni, rany ropiejące. Żołnierze zaczęli chorować. Biegunka wyniszczała organizm. Do tego pojawiła się żółtaczka i malaria.

W kompani nie było sanitariusza. Mnie skierowano na przeszkolenie. Lekarz pułkowy porucznik Drozd, w wolnych chwilach uczył mnie podstawowej opieki nad chorymi. Codziennie dowoziłem chorych ze swojej kompanii. Były dni, że przywoziłem po 10 osób i więcej. Lekarz po zbadaniu dawał im leki i odwoziłem chorych z powrotem. Jedyne leki to chinina, krople nasercowe i coś

na gorączkę. Innych nie było. Codziennie ktoś umierał. Obok powstał ogromny cmentarz.

W pułku mieliśmy już księży. Każdy pogrzeb był z udziałem księdza. Zmarłego wkładano do trumny, ale gdy włożono do zbiorowego dołu, dno otwierało się, ciało wpadało do ziemi, a trumnę wyciągano, bo potrzebna była dla następnych zmarłych. Desek na trumny nie było.

W nocy przychodziły na cmentarz szakale i dzikie psy. Odkopywały ciała i rozszarpały. Początkowo mówiliśmy, że duchy tak płaczą.

Otrzymałem wiadomość, że Ryszard jest chory i leży w szpitalu. Dostałem przepustkę i pojechałem do Guzaru. Syn był w ciężkim stanie. Znowu biegunka – tyfus. Z ciężkim sercem żegnałem się z nim.

Z żoną i drugim synem nie udało mi się zobaczyć, musiałem wracać do pułku. Na szczęście Ryszard wyzdrowiał.

Przyszedł rozkaz przeniesienia nas z Uzbekistanu do Persji. Także wszystkie nasze rodziny będą tam przetransportowane. Miało to nastąpić w sierpniu 1942 roku.

W sierpniu 1942 roku rodziny pierwsze wyjechały. Żona z dwojgiem chorych dzieci z trudem dawała sobie radę. Jak opowiadała później – tłok do podstawionych wagonów był taki, że Romuald omal nie został stratowany, bo upadł na podłogę. Bagażu nie wolno było brać, tylko mały tłumoczek. Wyjechali więc z Rosji tylko w tym co mieli na sobie.

Gdy zaczął się nasz załadunek, widzieliśmy na stacji dużo porozrzucanych rzeczy m.in. pierzyny, poduszki po naszych rodzinach. Wziąłem wtedy jedną małą poduszkę i wędrowałem z nią przez całą służbę wojskową, i przywiozłem ją po wojnie do Polski.

Każdy żołnierz otrzymał nowe buty, mundur, płaszcz i koce. Wszystko angielskie. Musieliśmy oddać broń, wzięli ją Sowieci. Załadowaliśmy się w pociągi osobowe i zawieziono nas do portu Krasnowodsk nad Morzem Kaspijskim w Turkmenii ZSRR.

Straszne dramaty rozgrywały się przy naszej ewakuacji. Wielu żołnierzy było w ciężkim stanie. Nie chcieli jednak zostać w szpitalu, prosili o zabranie do Persji. Zabieraliśmy na nosze ile tylko byliśmy w stanie. Część jednak musiała zostać – a to był wyrok śmierci.

Lekarze i my sanitariusze, opiekowaliśmy się chorymi z pełnym poświęceniem, wielu jednak zostało podczas drogi.

W Krasnowodsku załadowaliśmy się na statki towarowe, przewożące ropę. Wszyscy na pokładzie. Rozkaz odpłynięcia. Orkiestra wojskowa zagrała hymn „Jeszcze Polska nie zginęła” i rotę „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród”. Jeden wielki szloch.....

5 dni płynęliśmy do portu Pahlevi w Persji. Długo staliśmy przed portem, wieloznacznie uniemożliwiała wpłynięcie. Trzeba było przeładować się na małe stateczki, by dostać się do brzegu. Najgorzej z chorymi. Statki kołyszące się, trudno z noszami utrzymać równowagę. Wiele godzin nam to zajęło. Na brzegu

skierowano nas do kwarantanny. Przenosimy chorych, gdy nagle ktoś łapie mnie z tyłu, odwracam się żona!

Padliśmy sobie w objęcia. Nie było czasu na rozmowy, chorzy czekali na przeniesienie do szpitala. Ale radość w sercu ogromna – jesteśmy znowu razem i to na wolnej ziemi.

Na drugi dzień żona odnalazła mnie w jednym z namiotów, ale niestety byłem chory ponad 40° gorączki. Trzy dni leżałem. Leki, których już nie brakowało, postawiły mnie na nogi.

Poddany zostałem kwarantannie. Wszystką odzież spalono, dostałem nową. Wypłacili nam żołąd w wysokości 12 tumanów. Zaczęło się nowe życie.

Jedzenia dostawaliśmy tyle, ile kto mógł zjeść. Kucharze gotowali dzień i noc. Kiosk zaopatrzony we wszystko – oranżada, czekolada, wędliny, różne pieczywo, ryby, a nawet wódka i piwo. Raj dla nas wynędzniałych. Za 1 tumana można było kupić 10-12 jajek.

Z żoną spotykaliśmy się poza obozem. Do obozu cywilom wstęp wzbroniony. Ryszard nadal był u „Junaków”, ale niestety chory i został odwieziony do szpitala w Teheranie. Widziałem się jedynie z Romualdem. To było ostatnie spotkanie.

Niedługo potem cywile odjechali do Teheranu. Żołnierze musieli dokończyć 14-dniową kwarantannę.

Załadowali nas na samochody i perscy kierowcy, znający drogę wieźli nas w nieznane. Droga trudna, niebezpieczna, kręta, z urwiskami między wysokimi górami porośniętymi drzewami. W dolinach i niższych partiach drzewa owocowe – morele, brzoskwinie, pomarańcze. Cały dzień trwała ta niebezpieczna podróż. Wieczorem byliśmy już w Teheranie. Po noclegu, ruszyliśmy dalej. Też między górami, ale droga już lepsza, asfaltowa. Skały nagie, a na nich olbrzymie ptaki – sępy.

Wjechaliśmy na pustynię, tam czekały na nas rozbite już namioty. To był Iran.

Oto jakie były dalsze losy mojej rodziny:

Wkrótce do Teheranu odtransportowano cywilów. Ryszard już tam był, w szpitalu. Żona mogła go odwiedzać. Niestety, nagle zachorowała. Została zabrana do szpitala. Romualda ulokowano w obozie dziecięcym dla uzdrowieńców. Tam zachorował i po przewiezieniu do szpitala zmarł. Straciliśmy trzeciego syna!

Żona po wyjściu ze szpitala poszła szukać dzieci. Dowiedziała się, że Romuald jest pochowany na cmentarzu w Teheranie. Odszukała grób – był krzyż z tabliczką, z jego imieniem i nazwiskiem.

Przez kilka dni nie mogła odnaleźć Ryszarda, bo był przemieszczany ze szpitala do szpitala. Rozpacz nie do opisania.

Pewnego dnia spotkała pielęgniarkę z oddziału, gdzie umieściła Ryszarda. Od niej dowiedziała się, gdzie syn przebywa. Gdy weszła na salę nie mogła poznać swojego dziecka. Dopiero Ryszard zobaczył mamę i zawołał. Syn był w

strasznym stanie. Wychudzony, cały czerwony, skóra i kości – szkielet człowieka, zaatakowała go pelagra. Straszna choroba, wyniszczająca wskutek braku witaminy PP w pożywieniu. Towarzyszące chorobie biegunki i zaburzenia nerwowe powodowały, że chory umierał.

Gdy zrozpaczona klęczała przy łóżeczku syna, zjawił się lekarz. Płacząc powiedziała mu, że straciła już 3-ch synów, to ostatni i też umiera. Błagała o ratunek!

Temu lekarzowi zawdzięcza Ryszard życie. Zajął się nim z pełnym poświęceniem. Dokonał cudu.

Żona przez długie tygodnie odwiedzała syna w szpitalu, pielęgnowała, karmiła, na szczęście owoców i jedzenia nie brakowało. Gdy wrócił do zdrowia, zabrała go do siebie, nie puściła już do „junaków”.

Cóż, kiedy znowu nieszczęście – żona zachorowała. Zabrano ją do szpitala. Ryszard został sam w obozie i musiał sobie radzić. Znowu parę tygodni rozłąki, na szczęście żona wyzdrowiała. Mogła z resztą cywilów ruszać dalej. Trasa wiodła z Teheranu przez Pakistan – Zatoką Perską do Karaczi – dalej do Bombaju w Indii. Z Bombaju przetransportowano tułaczy do obozu Wuliwade koło Kolhapur i tutaj doczekali końca tej okrutnej II wojny światowej.

Obóz Wuliwade był założony przez Księżnę Kolhapur. Baraki drewniane, kryte dachówką, a wewnątrz poprzdzielane trzcinowymi matami. Każda rodzina miała swoje „mieszkanie”. Koszty utrzymania pokrywał Polski Rząd w Londynie. Na osobę przysługiwało 11 funtów, ale wypłacano 4 rupie, (równowartość 4 funtów) – reszta szła na utrzymanie obozu i leczenie.

Warunki były trudne. Ratowały ich paczki z odzieżą z Ameryki i pieniądze od mężów z wojska. Nie obyło się bez nadużyć. Kontrole ze strony władz angielskich wykazały, że komendant obozu Jagiełowicz zabierał bezprawnie część pieniędzy nadsyłanych przez żołnierzy dla rodzin, a odzież, tę lepszą, sprzedawał Hindusom. Został wyrzucony z obozu.

Ryszard skończył szkołę podstawową. Chciał się dalej uczyć. W Indii nie było możliwości. Utworzono elitarne gimnazja dla dzieci rodzin bogatszych i utytułowanych. Dzieci z rodzin ubogich nie miały szans. I tutaj podkreślano różnice klasowe. Nie ważne, że przeszli tę samą tułaczą drogę, że na wygnaniu wspierali się wzajemnie. Gdy się byt poprawił, drogi rozeszły się. Gorycz.

Polscy księża chcąc ratować dzieci osierocone i schorowane, organizowali transport do Ameryki.

Żona widząc, że sama nie zapewni synowi dobrej egzystencji – zdecydowała się wysłać go do Ameryki. Sama została w Indii. Rodzina rozsypała się.

W Ameryce Ryszard znalazł „dom” w polskiej szkole w Ocher Lake. 34 „chłopców z Polski” – stanowiło rodzinę, którą opiekowali się księża.

Chłopcy uczyli się. Skończyli szkołę średnią. Część wybrała kapłaństwo, część poszła w inne zawody. Ryszard został technikiem elektronicznym. Pozostał w Ameryce.

nas ze wszystkich stron. Pod Monte Casino byłem 5 dni, brałem udział w szturmie na klasztor. Piechota polska walczyła tam od początku maja.

Pierwsze walki o Monte Casino rozpoczęły się 2 stycznia 1944 roku. Na pierwszy ogień poszły wojska alianckie. Poniosły ogromne straty. Otrzymaliśmy meldunek, że na drugi dzień zginęło 48 oficerów amerykańskich oraz 1002 podoficerów i szeregowych.

Francuzi, którzy szli prawym skrzydłem stracili 23 oficerów 162 podoficerów i 1300 szeregowych.

15 marca do ataku poszli Hindusi. Stracili 3000 żołnierzy. Nowozelandczycy 55 oficerów i 665 szeregowych.

Polskie wojsko pod Monte Casino składało się z dwóch dywizji, w każdej z nich było zaledwie 6 batalionów piechoty. W czasie walk były one uzupełniane, jak wspomniałem, żołnierzami różnych formacji, a także kierowcami, kucharzami, służbą sanitarną itp.

Opisem walk zajmują się fachowcy, ja tylko dodam, że ta zbieranina wojska polskiego dokonała cudu. Żołnierze szli do natarcia jak burza, zdobywali niemieckie umocnienia, przełamali opór, zdobyli Klasztor i na jego gruzach zatknęli Polską Flagę!

Największe walki toczyły się na wzgórzu nr 593.

Pieśń „Czerwone maki na Monte Casino” jest hołdem dla poległych, a cmentarz z napisem przy wyjściu: „Przechodniu Powiedz Polsce Żeśmy Polegli Wierni w Jej Służbie” – przez wieki nie pozwoli zapomnieć o przelanej krwi.

Po zdobyciu Monte Casino powróciłem do swojej jednostki artylerii przeciwlotniczej.

W dalszych działaniach wojennych dotarliśmy do Rzymu. Niemcy nie stawiali oporu. Miasto nie było bombardowane, oddane bez żadnych zniszczeń.

Przez Włochy przeszedłem z artylerią przeciwlotniczą. Ostrzeliwania krzyżowe z naszych dział dawały efekty – liczne niemieckie samoloty spadały na ziemię, ale ponieważ były załadowane bombami, eksplodowały i robiły ogromne zniszczenia w terenie i ludziach.

Ogromne też spustoszenie było wśród piechoty. Miny pozostawione przez Niemców zabijały masowo. Dowództwo chcąc uzupełnić szeregi piechoty, wcielało w nie wszystkich młodszych żołnierzy z innych formacji. Mnie pozostawiono w artylerii przeciwlotniczej, ale z dowódcy działa, zrobiono ze mnie podoficera broni i zaopatrzenia prowiantowego. Musiałem dużo jeździć samochodami – drogi niebezpieczne, zaminowane i ostrzeliwane przez Niemców.

Pewnego dnia, gdy pojechałem do odległego magazynu prowiantowego, Niemcy rozpoczęli bombardowanie. Budynki rozsypały się jak klocki, nie było się gdzie schować, schowałem się do rowu, gruz przysypał ten rów, dwóch żołnierzy zostało przysypanych, z trudem ich odkopaliśmy i uratowaliśmy. Służba ta była bardzo niebezpieczna.

Po trzech miesiącach pobytu na froncie przysługiwał nam miesiąc urlopu. Pojechaliśmy wówczas do Rzymu. Zwiedziliśmy miasto, zabytki i przede wszystkim Bazylikę Świętego Piotra. Przyjął nas na audiencji Papież Pius XII – wzruszenie wielkie.

Papież podał rękę z pierścieniem. Ucałowałem ten pierścień. Papież zapytał jakiej jestem narodowości. Odpowiedziałem. Wówczas pobłogosławił mnie i powiedział „Z Bogiem do Polski”.

Otrzymaliśmy obrazek z Jego wizerunkiem, błogosławieństwem, pieczęcią rzymską i podpisem. Miałem krzyż – krucyfiks, bardzo piękny, Papież go poświęcił. Ten krzyż wędrował ze mną do Polski.

We Włoszech byłem w latach 1944-1945. Tutaj zastał mnie koniec wojny.

Z Włoch wyjechałem do Anglii. Odszukałem żonę przez Polski Czerwony Krzyż. Ona przyjechała z Indii i razem wróciliśmy do Polski. Zamieszkaliśmy w Międzyrzeczu. Zostałem zatrudniony jako leśniczy w Lasach Państwowych. 1stycznia 1962 roku przeszedłem na emeryturę.

Antoni Goleniowski

Międzyrzecz, 1971 rok